

NOWE WYDAWNICTWA

F. A. Ossendowski: *Lenin*. Poznań, 1930. Wydawnictwo Polskie (R. Wegner). Str. 471 i 12 tablic. Okładkę rysował T. Rożankowski.

Mamy wielką biografję powieściową Lenina, pióra F. A. Ossendowskiego. Jest to trzecia książka tego typu, wychodząca po polsku. Poprzedził ją „Słowacki” Wołoszynowski i „Kłos panny” (o Koperniku) L. H. Morstina. Różni się książka Ossendowskiego wielce od obu swych koleżanek. O ile Wołoszynowski i Morstin kładli nacisk główny na artyzm — o tyle autor „Lenina” chciał nam dać rzecz treściwą, popularną, zajmującą, informacyjną. Że jednak nie rezygnuje autor równocześnie z ambicji powieściopisarza-biografa, więc też w ocenie książki jego musimy zastanowić się również nad jej walorami artystyczno-psychologicznymi.

Cechą dodatnią olbrzymiego „Lenina” jest to, że autor zna kraj, ludzi, o których pisze, że czuje życie rosyjskie, a przez to, cokolwiek dałoby się zarzucić książce — przynajmniej należy, że nosi piętno żywości i kolorytu lokalnego.

A sam Lenin? Prawdę mówiąc, książka jest tylko do połowy biografją Lenina. Począwszy od wybuchu rewolucji, Ossendowski coraz więcej poświęca miejsca malowaniu szerokich obrazów rozkładu życia rosyjskiego, — sam dyktator wylania się tylko od czasu do czasu z krwawego chaosu wydarzeń, które go całkowicie niemal przysłaniają.

W pierwszej znowu części autor „preparuje” bohatera na przyszłego dyktatora Rosji. Ta robota preparacyjna jest zbyt wyraźna; autor prowadzi za rękę swego bohatera do mety, którą widzimy już na pierwszych stronach książki. Coś za dobrze wie się temu „Wołodzi”. Podczas jednych krótkich wakacji zobaczył tyle okropności, ile nie udaje się ludzimu nieraz zobaczyć do śmierci; dość było temu chłopcu wyjść na spacer, aby zaraz być świadkiem zniewolenia niemowy w rowie, przzerwania macierzyństwa młodej dziewczyny wiejskiej przez barbarzyńskie zabiegi jakiejś półobłąkanej wiedźmy; a już nie bez tego, żeby nie usłyszeć przy okazji jakiejś rozmowy o podpaleniu, zemście, kradzieży, czy rabunku. To zbyt nie skupienie okropności, których świadkiem jest bezustannie młody Lenin — zanadto przypomina nam to, na co jesteśmy i tak zgóry przygotowani, a co nam autor zbyt już wyraźnie od początku zapowiada. Zresztą portret Lenina wiąże się z tem, co wiemy o dyktatorze bolszewickim. Ossendowski, którego bolszewizm odpycha niszczaniem kultury i barbarzyństwem — nie czyni mimo to z jego wodza ani potwora, ani obłąka.

W Leninie widzimy fanatyka doktryny, oddanego jej z zupełną bezinteresownością i samozaparciem; jest to doktryner, ale doktryner trzeźwy, świętny taktik, wyczuwający znakomicie chwilę, umiejący dostosować się do każdej okoliczności, znakomity psycholog, gracz życiowy. Można by nawet powiedzieć, że autor zbyt jest pochopny w darzeniu Lenina „burżuazynem” sumieniem, że zbyt silnie akcentuje moment „krzywdy społecznej”, jako pobudkę czynów wodza bolszewizmu. Sądziłby można, że ten fanatyk socjalizmu, którego Georges Sorel nazwał jednym z najwybitniejszych teoretyków marksizmu, był głębiej, niż to widzimy w powieści Ossendowskiego, przejęty ideą determinizmu dziejowego, że czuł się w większym stopniu narzędziem „konieczności”, że niezachwiana wiara w prawdę marksowską odebrała mu poczucie „twórcy” rewolucji. W tem oświeceniu inaczej musiałby też wyglądać dramat jego „sumienia”.

Z innych postaci, występujących w powieści Ossendowskiego, interesuje nas przede wszystkim „rodak”, Feliks Edmundowicz Dzierżyński. Ale ta postać wypadła niewyraźnie: jakaś mieszanina obłąkanej krwiożerczości z czemś w rodzaju... wallenrodyzmu; Ossendowski każe przemawiać parę razy temu oszalałemu katowi tajemniczym językiem mściciela za... krzywdy Polski. Nie chodzi mi tu o niesamowitość tego połączenia, nie powiadam, że tak być „nie mogło” — jakich to nie bywa powikłań i niespodzianek w duszy, rzuconej na pastwę instynktów wśród rozszalałej nawałnicy życia? Ale chciałyby się wiedzieć, jak ta piekielna maszyna działała, poznać jej mechanizm — a tego nam autor nie daje.

Tyle — jeśli chodzi o psychologję bohaterów. Ale, jak powiedziałem, „Lenin” Ossendowskiego ma za króć publicystyczno-informacyjny. Jakże pod tym względem przedstawia się sprawa? Książkę Ossendowskiego doskonale charakteryzuje zamasyista, barwna okładka Rożankowskiego, rzucająca się nam w oczy z poza witryny księgarskiej. Jest to tegi plakat. Nie chcę bynajmniej, porównując z plakatem „Lenina”, przyczynić ujmy książce. Plakaty bywają świetne, bywają i złe. Plakat Ossendowskiego narzucony jest śmiało sztrychami, pełną ręką, jest barwny i nie nudny. W obrazach życia rosyjskiego za reżimu bolszewickiego skupił Ossendowski to wszystko, cośmy wprawdzie wiedzieli, ale co nam raz jeszcze z wielką swadą i umiejtnością pokazał. Trudno się czasem zgodzić z pewnymi zapędami idealizacyjnymi autora w stosunku do Rosji cierpiącej, jej duchowieństwa prawosławnego i inteligencji. Ubolewamy nad dolą tych ludzi, ale niebardzo im dowierzamy. Ale ktoś powiedział, że z autorem trzeba się zawsze zgadzać?

K. Waliszewski: *Katarzyna II*. Opracowanie i przekład Stanisława Wasylewskiego z przedmową autora do czytelników polskich. Okładkę rysował T. Rożankowski. Str. 365, 16 ilustracji. Poznań. Wydawnictwo Polskie R. Wegnera.

Ukazanie się polskiego wydania „Katarzyny II” jest ewenementem wybitnym. Wybitnym z paru powodów. Przedewszystkiem, jako pojednanie się z Polską znakomitą, a straconą, zdawało się na zawsze, dla ojczyzny historyka, Kazimierza Waliszewskiego. Powtóre, jako przyswojenie piśmiennictwu naszemu wybitnego dzieła historycznego. Wreszcie jako doniosłe wydarzenie literackie.

Historja Kazimierza Waliszewskiego, tak pięknie, w tonach szlachetnej, pełnej wytwornego umiaru serdeczności skreślona świetnym piórem tłumacza i przedmówcy, Stanisława Wasylewskiego — jest jedną z tych licznych tragedj życia Polski czasu rozbiorów, kiedy to z nadmiaru nagromadzonej w sercu goryczy, bądź z braku krytycyzmu, lub z obudzonego niewola w duszach serwilizmu wobec któregoś z państw zaborczych — wyrządziło się niepowetowane nieraz krzywdy najzasłużeńszym synom kraju. Waliszewski padł ofiarą tej strasznej atmosfery. A że z natury był twardy, niezależny i karku nie ugiął, że obcy mu był kompromis, że wierność swoim przekonaniom cenil ponad wszystko, więc wyszedł z próby — jako pisarz i historyk zwycięsko — jako człowiek — złamany. Stał się jednym z najświetniejszych pisarzy europejskich, dzieła jego zyskały sobie niezwykłą wziętość, szeroką nawet popularność wśród społeczeństw zachodnio-europejskich. Dziś dopiero, jako 80-letni starzec, doczekał się Waliszewski polskiego wydania najgłośniejszego ze swych dzieł, jednając się w ten sposób z ojczyzną.

Nie da się zresztą zaprzeczyć, że wcześniejsze wydanie „Katarzyny II” po polsku natrafiby mogło na poważne i, psychologicznie przynajmniej, usprawiedliwione przeszkody. Autor, przeciwstawiając się legendzie o zwyrodniałej rozpustnicy na tronie, stara się dać wizerunek możliwie obiektywny, odbiegający daleko od opinii potocznej o Semiramidzie Północy i, aby powieścić wszystko, daje wizerunek, nacechowany... sympatją dla carcy.

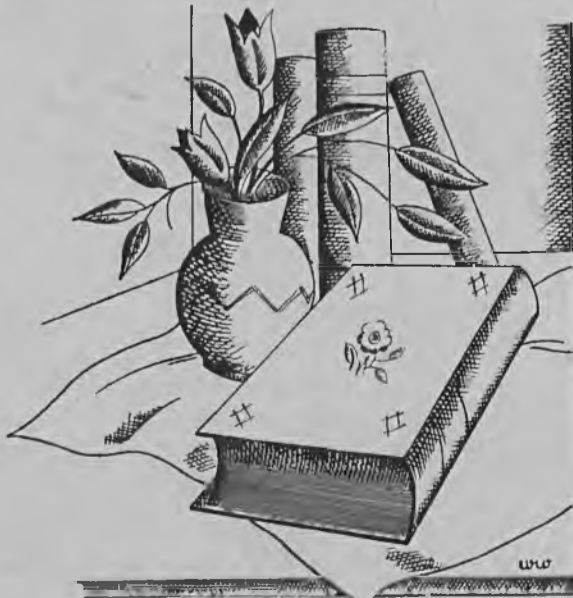
Ma to już legenda do siebie, że nie lubi odcieni, że maluje charaktery jednolite, do absurdu niekiedy uproszczone. Pisarze, obdarzeni zmysłem psychologicznym, szukający poza posągiem człowieka, stają się przez to burzycielami legend. Z tej potrzeby zrodziła się, tak dziś głośna dzięki Boyowi, walka z „bronzownictwem”. Waliszewski jest też w swej „Katarzynie II” antybronzownikiem, tylko, że w tym wypadku burzy on posąg potwora, a nie świętego.

Czytając „Katarzynę II”, widzimy, jak autor wciąż paktuje je swym sentymentem. Możemy być pewni, że jeśli na którejs z stron dzieła znajdziemy dwadzieścia wierszy srożej akuzacji — następne dziesięć przyniosą jej znaczne złagodzenie. Katarzyna w interpretacji Waliszewskiego — to kobieta niepospolitego umysłu i energii, obdarzona przytem znaczną dozą samokrytycyzmu. Moralność? Zapewne nie jest ona bez zmyłu. Życie carcy pełne było erotyzmu, nie zawsze najwyższego polotu. Ale, tak chce Waliszewski, były to marginesy jej życia i działalności. Legendę o przewrotniej kobiecie, tonącej w orgiach wyuzdania i rozpusty, należy odrzucić jako bezpodstawną. Nie brak też było w życiu carcy stron miłości prawdziwej, że wspomnimy Patiorkina.

Stosunek do Polski? Ciężar odpowiedzialności za rozbiory spada, zdaniem Waliszewskiego, na Austrię, na obłudną politykę Marji Teresy. Katarzyna była do pewnego stopnia „zaskoczona”.

Poglądy i wywody autora nastęrczać mogą niejedno zastrzeżenie historykowi — a nawet laik czuje wobec nich niejaką podejrzliwość z racji nadto widocznej tendencji „odczernienia” postaci Katarzyny, której wizerunek ponure nasze dzieje rozbiorowe utkały z samych cieniów.

Jakkolwiek jednak wypadnie ocena historyka, pozostanie niezaprzeczoną wartością literacką dzieła, które mimo nagromadzenia erudycji i szczegółów, czyta się jak powieść, — ciekawą, doskonałą powieść.



Marja Kossak-Pawlikowska: *Profil białej damy*. Warszawa, 1930. Nakł. Księg. Hoesicka. Str. 52.

Ostatnio wydany tomik Marji Kossak-Pawlikowskiej p. t. „Profil Białej Damy” to zbiór wierszy „medjystycznych”. Jest w nich aura niesamowitości: seanse, zjawy, strachy, topielce, zaświatowe fantazje. Już to nic niema dziś modniejszego, niż „wiedza okultystyczna”. Czyż może być przyjemniejsza rozrywka towarzyska, niż zgasić lampę, zestawić jakieś tam stoliki i kogoś tam „wywołać”? Uczestnicy doznają niesłychanie „interesujących” wrażeń, np. dotknięcia tajemniczej zimnej kosmatej łapy, niespodzianego pocochrania włosów jakimiś palcami z „zaświata” — no a jeśli już Remington zacznie sam pisać, a gospodarz domu mimo swej zaczej tuszy, uniesie się wraz z fotelem w powietrze, niczem piórko — to wszyscy się niesłychanie cieszą, i mówią sobie potem: „ale trzeba przynajmniej, żeśmy się doskonale bawili”.

Jeśli tu o tej duchomanji wspominać, to właśnie, aby uwidatnić kolosalny dystans, dzielący „spirytizm” towarzyski, wchodzący w rolę pośrednią pomiędzy modną powieścią a golf — od tego artystycznego wstrząsu, który subtelną falą idzie ku nam od wierszy Pawlikowskiej.

Podejście poetki do tematu nie jest proste. Nie sposób rozprawić się z niem, nazywając je krótko „sceptycznym”; poetka wyczuwa przecież niezmiernie głęboko czar atmosfery „seansu”, wie „czem to pachnie” — choć równocześnie nie daje się całkowicie ponieść fali — i pozostaje mimo wszystko tylko obserwatorką. Jest w tych wierszach pewien chłód — chłód dystansu; czujemy w Pawlikowskiej nie „wierzącą” spirytystkę, lecz inteligentną, wnikliwą, nad wyraz wrażliwą obserwatorkę.

Z wierszy „czysto” spirytystycznych przytoczmy choćby „Nieudany seans”:

„Alfabet był mętny, zawiły...
Niecierpliw się łańcuch uczestników...
Za to jedna z rąk, bielsza od białych gwoździków,
drgnęła, nakryta ręką pełną siły.

Fluid ulatniał się niepostrzeżenie...
Stolik stanął i zamarł bez ruchu.
Z białej ręki w dłoń męską przeniknęło drzenie,
i przyszła miłość zamiast duchów”.

Albo „Straszdyło”:

„Papierosnica przasała —
temat się rozprysnął,
dzień spłoszył —
konwersacja utraciła siłę...
A straszdyło rozkoszy, niespodzianie przybyłe
ściśniętymi zębami błysło.

Zapalcieź elektrykę!
herbaty nie strąćcie!
Niech ktoś trzeci, rozmowny, siądzie między wami —
i nie patrzcie tak ciągle zwięzonymi oczami,
na straszdyło stojące w kacie...”

Pawlikowskiej „spirytizm” wybiega jednak w większości wierszy daleko poza granice ściśle „seansowe”. I tu nabiera wspaniałego rozpięcia. Język, czy żargon potocznygo spirytizmu staje się w rękę poetki znakomitem narzędziem ekspresji dla wyrażenia bardzo subtelných myśli o życiu, miłości, dla malowania lotnych obrazów o arcysubtelnej vibracji. Typowym takim wierszem będzie np. „Materjalizacja”:

„Nie, doktor Faustyn nie miał wielkiej racji,
że nie zadowolnił się widmem,
lecz chciał dokładnej materjalizacji,
zanim się rozwidni.
Duch jaśniał,
potem znów ciemniał stopniowo,
wreszcie stanął przed nami
jako zwykły człowiek...
Cóż nam teraz ciekawego powie?
Nie, doktor Faustyn nie miał wielkiej racji,
że nie zadowolnił się widmem
lecz chciał dokładnej materjalizacji”.

W pewnego rodzaju romans z zaświatem wdaje się poetka w cyklu ostatnim „Płyty Carusa” — możnaby ten cykl nazwać aktem nadania duszy gramofonowi. Ta wynalazczość, ten instynkt tropienia nowych dziedzin wzruszenia pociąga nas najsilniej ku poetce.

U nas było zwykle tak, że, jeśli ktoś miał w swoim repertuarze nutę mistyczną, „zaświatową” — to był mglisty, patetyczny, może podniosły, ale tonął w oparach rozwelekości, jeśli nie nudy. Ci znowu, co widzieli ostro, co czuli smak życia, co znali satysfakcję obserwatora — nie wycibiali nosa poza mocno udeptaną powszedniość. Pawlikowska łączy oba temperamenty: choć skala jej odczuć sięga w zaświaty — nie traci poetka ani na chwilę ostrości spojrzenia i zwięzłości formy. Zaświat jej ma w sobie coś z minjatury, z pałacu Łazienkowskiego, bodaj z buduaru — a mimo to jest bardzo autentycznym, bardzo głęboko odczuty, nieraz prawdziwie tragicznym zaświatem. I za ten cudowny aljaż cenimy wysoko te chłodne i uczuciowe, płocze — i zarazem bardzo poważne wiersze.

J. E. Skłowski